Cena pojedyńczego nr. 30 gr.
Rok II. Radom, Luty 1926 r. Nr. 6.

FILARETA

MIESIĘCZNIK K. M. „FILARECJA” GIMN. PAŃSTW.
IM. J. KOCHANOWSKIEGO w RADOMIU.

DLA CIEBIE POLSKO i DLA TWOJEJ CHWAŁY!

Chłopcy!

Co pół roku pismo nasze ogłasza statystykę stopni, które dla uczniów szkoły naszej zostały ustalone w świadectwach półrocznych. Dwukrotnie już zwracałem wam uwagę na to, że stopnie te są w wielkiej mierze odzwierciedleniem waszego napięcia umysłowego i chęci do pracy.

Pomimo wszystko ogłoszona poniżej statystyka stopni za ubiegłe półrocze znowu wykazuje, że przykra atmosfera powojennego rozleniwienia duchowego i osłabienia woli niestety jeszcze panuje w społeczeństwie naszem.

Statystyka ta wykazuje nam, że cały szereg młodzieży naszej jeszcze nie zdołał się przekonać do stałego, konsekwentnego wykonywania swych obowiązków szkolnych przez cały rok, ale nadal lekceważy sobie znaczenie pierwszego półrocza.

Pisałem wam już i o skutkach takiego fatalnego pojmowania swoich obowiązków. Wykazywałem wam, że wskutek tego powstają poważne luki w wiedzy uchylającej się od regularnej pracy jednostki, że te poważne luki tylko przez bardzo zdolne jednostki mogą być wyrównane, kiedy przeciętnie zdolny uczeń prawie zawsze wskutek niesumiennej pracy nie dobija do celu.

Tłomaczyłem wam także prawie w każdym numerze „Filarety”, że od waszej tężyzny duchowej i od waszej silnej woli zależy całość i potęga państwa polskiego, że ta szkoła polska, do której wy szczęście macie uczęszczać, powinna i musi wydać zastępy ludzi żelaznej woli i ogromnej pracowitości, jeżeli naród nasz wśród wielkiej rodziny ludów europejskich ma zająć odpowiednio szanowane stanowisko.

Wszelkie lenistwo duchowe, wszelka lekkomyślność, wszelka niesumienność w wykonywaniu obowiązków swego stanu przy-

Pierwsze pół

Liczby uczniów, którzy w danej klasie z wym. poniżej przed

	Religja				Polski				Łacina				Niemiecki				Francuski				Historja				Geografja				Matematyka			
	5	4	3	2	5	4	3	2	5	4	3	2	5	4	3	2	5	4	3	2	5	4	3	2	5	4	3	2	5	4	3	2
Kl. I	18	18	6			3	35	4														10	31	1	1	2	35	4		5	26	11
Kl. II	35	17	2			6	38	10					1	5	17	8		4	8	11	1	7	46		1	3	49	1		1	31	22
Kl. III	30	21	3			7	44	3					1	5	24	4		3	8	9	1	3	50			3	49	2		4	27	23
Kl. IV	44	7	3		1	10	30	13		8	28	18		4	20	8	1	4	9	8		7	43	4		3	51			5	23	26
Kl. V	37	9				6	35	5		2	25	19		1	21	1		4	13	6		7	37	2		1	44	1		4	17	25
Kl. VII	24	10	3			2	34	1		1	14	22		3	14	7		1	11	1		9	28							2	12	23
Kl. VII	12	4	4			1	17	4		3	12	7			12	1		2	6	1		6	16								16	6
Kl. VIII	25	2				4	24			1	27			2	21			1	4			22	6							3	19	6

Procent stopni niedostatecznych

	Religja	Polski	Łacina	Niemiecki	Francuski
Klasa I	0%	9.3%	—	—	—
Klasa II	0%	18.5%	—	25.8%	47.8%
Klasa III	0%	5.6%	—	11.8%	45%
Klasa IV	0%	25%	33.3%	25%	36.4%
Klasa V	0%	10.9%	41.3%	4,3%	4.3%
Klasa VI	0%	2.7%	59.5%	29.2%	29 2%
Klasa VII	0%	18.2%	31.8%	0%	7.5%
Klasa VIII	0%	0%	0%	0%	0%

rocze 1925/1926.

miotów otrzymali stopnie, oznaczone w tabelce liczbami 5—2

Fizyka				Chemja				Przyroda				Logika				Pismo				Rysunek				Śpiew				Gimnastyka				Sprawowanie			
5	4	3	2	5	4	3	2	5	4	3	2	5	4	3	2	5	4	3	2	5	4	3	2	5	4	3	2	5	4	3	2	5	4	3	2
								7	8	27							6	29	7	2	9	27	4	2	9	26	4		18	20	3	17	25		
								6	12	34	2									6	16	28	4	1	17	20	16		14	39	1	8	45	1	
1	13	40						4	18	32										4	11	35	4		5	44	5	5	21	20	6	15	39		
								3	11	34	6									1	13	35	5					3	23	25	1	17	34	3	
								3	22	21																		12	10	17	2	9	37		
1	5	31																		2	13	14						6	18	6	4	3	31	3	
	4	18																		3	3	3						13	6	3		4	18		
	10	18											10	18														18	5	1	1	22	6		

z poszczególnych przedmiotów.

Historja	Geografja	Matematyka	Fizyka	Chemja	Przyroda	Logika	Pismo	Rysunki	Śpiew	Gimnastyka
2.4%	9.3%	26.2%	—	—	0%	—	16.7%	9.5%	9.5%	7.3%
0%	1.9%	40.8%	—	—	3.7%	—	—	7.5%	29.6%	1.9%
0%	3.7%	42.6%	0%	—	0%	—	—	7.5%	9.3%	12%
7.4%	0%	48.2%	—	—	11.1%	—	—	9.3%	—	1.9%
4.3%	2.2%	54.3%	—	—	0%	—	—	—	—	4.9%
0%	—	62.2%	0%	—	—	—	—	21.6%	—	11.8%
0%	—	27.3%	0%	—	—	—	—	0%	—	0%
0%	—	21.4%	0%	—	—	0%	—	—	—	4%

Liczby uczniów poszczególnych klas, zestawione według więcej lub mniej dostatecznych wyników ich pracy.

	Bez stopni niedostat.	1 stopień niedostat.	2 stopnie niedostat.	3 stopnie niedostat.	4 stopnie niedostat.	5 stopni niedostat.	6 stopni niedostat.	Procent uczniów zupełnie dostat.	Procent ucz. dostat. i z 1 stopniem niedostateczn.
Klasa I . .	26	5	5	3	1	2	—	61.9%	73 8%
Klasa II . .	15	15	14	8	1	1	—	27.5%	55.6%
Klasa III . .	24	12	12	6	—	—	—	46.7%	66.7%
Klasa IV . .	21	9	9	8	2	2	3	38.9%	55.6%
Klasa V . .	14	12	9	6	4	1	—	30.4%	56.5%
Klasa VI . .	5	12	10	6	1	2	1	13.5%	45.9%
Klasa VII . .	8	9	4	1	—	—	—	36.4%	77.3%
Klasa VIII . .	22	6	—	—	—	—	—	78.6%	100%

czynia się do podważania autorytetu narodu polskiego w świecie, do osłabiania podwalin państwa polskiego.

Przekonany jestem, że wy jako dobrzy patrjoci, których koledzy głowy swoje kładli pod Radzyminem za całość państwa, będziecie się wszyscy odtąd zawsze poczuwali do bezwzględnego wykonywania wszelkich swoich obowiązków szkolnych.

Józef Jentsch
Kurator „Filarecji".

Z krwawych dni.

Kompanja maszerowała żwawo, choć żołnierze grzęźli po kostki w lepkiem błocie ostatnim deszczem rozmoczonej drogi leśnej. Noc dobiegała końca. Na szafirowem niebie gwiazdy zaczynały blednąć. Drzewa szumiały zcicha, poddając swe liście pieszczotom lekkiego wiatru. Ciszę przerywały tylko tajemnicze odgłosy nocnego życia lasu i szmer marszu kompanji.

W tem do jadącego na czele oficera dopadł przybyły z przodu lasu żołnierz i meldował pospiesznie:

— Bolszewicka konnica. Jadą w naszą stonę. Ubezpieczenie przednie stanowi dwuch żołnierzy.

Oficer zatrzymał kompanję i zastanowił się na chwilę.

Był to zapewne ów szwadron kozaków, który, jak donieśli wywiadowcy, spalił wczoraj wieczorem wieś Krasną za opór, jaki stawiali im chłopi w rabowaniu. O innych większych oddziałach konnicy nieprzyjacielskiej w tej okolicy nie słyszano.

— Jak są daleko?

— Kilometr.

— Zdążymy dobiec na brzeg lasu?

— Zdążymy.

— Dobrze. Odmaszerować. Nasze ubezpieczenia niech się zatrzymają na brzegu lasu.

— Rozkaz!

Oficer zwrócił się do kompanji, i po chwili cały oddział biegł tak szybko, jak tylko mu na to pozwalało ciężkie uzbrojenie i wyekwipowanie. Po paru minutach znaleziono się na brzegu lasu. Chwila zamieszania, trzasnęło kilka gałązek pod nogami, padło kilka słów rozkazu i cisza znowu zaległa.

Zdala, polną drogą nadjeżdzał nieprzyjacielski oddział.

Słychać było chlupot koni po błocie i ciche brząkania rynsztunku. Bliżej, o paręset zaledwie metrów od lasu, majaczyły w mroku dwie postacie zwolna jadących konnych; nad ich głowami kołysały się w takt końskiego chodu długie spisy. Obaj z natężeniem wpatrywali się w ciemną głąb lasu i pilnie nadsłuchiwali, czy z czarnej szczerby, jaką tworzyła w murze lasu droga, nie dojdą do nich jakieś podejrzane odgłosy. Gdy zbliżyli się do wylotu drogi, zatrzymali się na chwilę, ale widocznie nic ich nie zaniepokoiło, bo ruszyli i rychło zniknęli w głębi lasu.

A już nadjeżdżał główny oddział. Chwilowo w lesie zapanowała głucha cisza, tylko gdzieś z dalekiej wioski dochodziło wycie psa, który ponurą swą pieśnią skarżył się na czasy głodu i śmierci, na czasy burzenia i łamania tego, co ład i pokój zbudowały. Żołnierzom, ukrytym w zasadzce, dłużyły się chwil

oczekiwania, oczy świeciły gorączką, a serca biły mocno, budząc strach, że, zda się, nieprzyjaciel ten łomot usłyszy.

W tem, gdy już pierwsi jeźdźcy oddaleni byli tylko o kilka kroków od lasu, gdzieś niedaleko rozległ się przeraźliwy i dreszcz w żyłach budzący krzyk puhacza:

— U-haaa...

Koń pierwszego jeźdźca skoczył w bok. Jeździec wstrząsnął się, ściągnął konia i zaklął półgłosem:

— Szob tebie pokrutiło...

W tej chwili jak gromy huknęły bliskie strzały, salwa jedna, druga, trzecia i dalsze. Szeregi nieprzyjacielskie stanęły jak wryte, konie zaczęły rżeć, ludzie podnieśli krzyk, kilku jeźdźców z jękiem chlapnęło w błoto.

Teraz dopiero żołnierze nasi, ukryci dotąd w zaroślach, wyskoczyli na drogę i pluli raz po raz ogniem na osłupiałego nieprzyjaciela. Jednak, jak cisza i czerń nocy ustąpiła przed hukiem i krwawem światłem wystrzałów, tak i przerażenie wroga ustąpiło wściekłości. Zrazu słabo, później coraz mocniej i celniej zaczęli odpowiadać. W pewnym momencie, na gromką komendę:

— W pieriod! W pieriod!—rzucili się do szarży.

Lecz wściekłość ciemnego żołdactwa nie zwyciężyła zapału dzieci, broniących matki. Słodka wizja niedawno z więzów rozkutej, a zagrożonej znowu przez czerwoną dzicz Ojczyzny, stała snać żołnierzom przed oczyma. Toteż dziesiątkowany wróg zaczął się mieszać, zwalniać, i w końcu musiał się cofnąć.

Huk strzałów, świst kul, rżenie i kwik koni, krzyki i jęki rannych, szum gałęzi i liści, bitych przez kule, złożyły się na rozsadzający głowę hałas. Kłęby dymu włóczyły się po drodze i lesie, przerywane co chwila smugami wystrzałów, w których świetle upiornie wyglądały białe pnie brzóz i czarne kolumny dębów. Ostry swąd prochu i mdły krwi napełnił powietrze.

Wreszcie jeździec po jeźdźcu, gromadka po gromadce, zaczęły się wymykać, rozległy się rozpaczliwe wołania:

— Ludzie, spasajties! — i wróg pierzchnął w panicznej u-

cieczce. Nasi żołnierze skoczyli za nimi i długo jeszcze wysyłali za uciekającymi świszczące posłanki śmierci.

— — — — — — — — — — — — — — —

Złote oko słońca wychyliło się z za widnokręgu, witając świat. Na polnych trawach błyszczały, jak brylanty, łzy rosy, promienie wyzłacały dojrzewające zboża, zieleń drzew wydawała się piękniejszą niż zwykle. Gdzieś pod błękitem nieba dzwonił skowronek swą pieśń poranną, z głębi lasu rozbrzmiewały modły ptasząt, a na pobojowisku krzątali się nasi żołnierze. Na ich twarzach słońce także kładło swe promienie, grały na orzełkach u czapek jego złote blaski, ale najbardziej jaśniała twarz chowanego przez nich pod płaczącą brzozą kolegi, bo wszak poległ za Ojczyznę... *T. B.*

Idziem do ciebie, ziemio, matko nasza!*)

Pewnego razu na zboczu potężnej góry znalazłem małą plantację bananów i tak zwaną „taperę", czyli opuszczony domek. Urwałem potężne grono smacznych owoców i wszedłem do chatki, chcąc odpocząć w jej wnętrzu. Tapera była typowa: sklecona z desek, ze szparami w ścianach i dziurami zamiast okien, nie różniła się niczem od setek podobnych, rozrzuconych po dalszych ostępach leśnych. Wnętrze natomiast świadczyło, że mieszkał tam zapewne jakiś kolonista. Była wybielona i wisiało w niej parę obrazków. Machinalnie zbliżyłem się do ściany i zacząłem przeglądać jakieś wycinki z „Eu sei tudo" czy „Leitura para todos" (brazylijskie popularne miesięczniki). Nagle wśród rozmaitych bohomazów, wyobrażających Bóg wie co, dostrzegłem białą kartkę papieru, zapisaną dużem niezgrabnem pismem. Ku swemu zdumieniu zauważyłem, że była skreślona po polsku. Zerwałem ją śpiesznie ze ściany i odczytałem te słowa:

„Nazywam się Stanisław Kłyk, Polak, kolonista z Gór Morskich. Wczoraj dowiedziałem się, że Moskale chcą nam znowu

*) Przedruk z M. B. Lepeckiego: „W Krainie Jaguarów"—Księgarnia Bibl. Dzieł Wybor. Warszawa, Sienkiewicza 12.

Polskę zabrać, więc zostawiam tę moją kolonję w Górach Morskich na opiece Boskiej i jadę do Warszawy. Dnia 4 września 1920 roku".

Niezgrabne pismo świadczyło, że pisał je człowiek mało inteligentny, prosty. Usiadłem na jakimś już rozpadającym się stołku i zadumałem o tym zwyczajnym, ordynarnym Kłyku. Co za ogrom miłości do dalekiej Ojczyzny musiał płonąć w jego sercu, skoro ożywił tak szczytne postanowienie!

Dopytywałem się wszędzie o tego człowieka. ale nikt wiele powiedzieć nie umiał, oprócz tego, że faktycznie przed trzema laty mieszkał tam niejaki Kłyk, chłop prosty i niezbyt mądry.

— Pewnikiem miał we łbie fijoła—mówił kowal śmiejąc się głośno—ciągiem wyrzekał, że to niby los niepozwolił mu na wojnę iść. Bywało, przyjdzie Kłyk do mnie i prawi—„my tu w dostatku i cieple se żyjem, a tam nasi bracia w chłodzie i niebezpieczeństwie o tą naszą Polskę krew czerwioniutkom lejo. Powiadam wam „compadre", jako że już dwa dziecka do krztu mi trzymał i kompadrem mi wypadał, że co sobie o tem pomyślę, to cosik za grzdykę mnie chwyta i dzierży, to powiadam ci compadre, prawi, co się popatrzę na one ananasy i insze przysmaki i wspomnę se na tom naszom wygodę, to jakby mi wstyd czegosik było i jakby coś wołało—a idź tam do swoich, do onych błoniów i tych lasów iglastych i broń ich przed wszelakim wrogiem".

— Tak, był to chłop przyciężki i na rozumie nietęgi, pewnikiem w młodości babie z podołka wyleciał i łepetynę se potłukł—zakonkludował rodak i zabrał się do zawijania w liść kukurydzy szczypty tytoniu, po chwili wypuszczał z siebie kłęby śmierdzącego dymu.

— No, ale w końcu, Kłyk przecież pojechał do Polski? — zapytałem.

— Pojechać to i pojechał, mówił, że do Polski, ale kto jego wie, dokąd zajechał.

— Powiedzcie, mi jak ostatecznie zdecydował się na wyjazd—dowiadywałem się skrzętnie wszystkich szczegółów o tym człowieku.

— Ano było to tak—zaczął kowal swoim twardym głosem, mieszając do opowiadań mnóstwo słów portugalskich, jak to jest w zwyczaju polskich emigrantów w Brazylji—gdzieś pod koniec zimy wypadło mi jechać do Paranagua, aby umówić się o sprzedarz bananów z jakimś innym kupcem, dotychczasowy oszukiwał mnie od dłuższego czasu. Muszę jeszcze panu powiedzieć, że kowalstwem zajmuje się niedawno, a w tamtym czasie byłem kolonistą, tak jak Kłyk. Otóż załatwiłem ja w tej Paranagwie (spolszczenie od Paranagua) interesy, zrobiłem nowy kontrakt, a że pozostało mi jeszcze trochę czasu, więc poszedłem do jednego Polaka, Grabowskiego, co trzyma wendę nad morzem, aby pogawędzić o starym kraju. Zachodzę ja do niego, witam się i zaraz pytam, co tam „za wodą" słychać. Aż tu patrzę, wędziarz robi smutną minę i powiada: „źle, moiściewy, ruski już znowu do Polski wlazł i do Warszawy się dobiera".

— Nie może być, powiadam, przecież w kurytybskich gazetach stojało, że nasze Ruskiego i Niemca przepędziły już dawno za siódmom rzekę.

Tu Grabarski jął mi opowiadać, jak to z tem wszystkiem było.

I teraz, mój Janie, powiada, one rabusie stojom pod Warszawom i smak se na tę naszą stolicę robią.

Zmartwili my się oba serdecznie i wypili na ten frasunek półtory butelki tęgiego kaszasu (wódki z trzciny cukrowej). Ale ten Grabarski silnej głowy nie miał, więc wkońcu zaczął płakać, że to niby naszą Ojczyznę djabli biorą. Zebrała się kupa Brazyljan i pytają:

— Czemu Polaco (Polak)—płaczesz?

— A bo nam „desgraçados Russos" (przeklęci Rosjanie) Warszawę chcą zabrać.

Dziwowały się Brazyljany niemało, że to w starej Europie takie niegodziwe narody mieszkają i jedne na drugie nastają.

Wróciłem wreszcie z tej przejażdżki do domu i zaraz na drugi dzień z rana pchnąłem mego Franka do Kłyka, żeby przyszedł, bo wieści „z za wody" mam nowe. Mieszkał Kłyk dobre

pięć kilometrów odemnie, ale nie upłynęło i dwie godziny, a był już u mnie. Jeszcze i potu nie otarł, choć dzień był gorący i duszny, tylko zaraz zaczął pytać, co i jak. Więc zacząłem mu wykładać to, co mówił wendziarz z Paranagua, że źle, że Rusek wlazł do Polski i zawojować nas chce. Chociaż wiedziałem, jak Kłyk kocha stary kraj, ale nie przypuszczałem, aby wiadomość ta wywarła na nim takie wrażenie. W tym samym momencie zmienił się na twarzy prawie do niepoznania, na chwilę przygarbił się, jakby wiadomość przytłoczyła go do ziemi, natychmiast jednak porwał się na równe nogi i zaczął się ze mną żegnać.

— Gdzie to tak spieszycie, compadre—zapytałem zaniepokojony.

— Ha, może jeszcze zdążę i coś w starym kraju pomogę. Sam jestem i nikt tu po mnie płakać nie będzie.

Na drugi dzień przyszedł znowu, na plecach niósł worek z najpotrzebniejszemi rzeczami. Opowiedział mi, że co miał pod ręką, sprzedał staremu Pedrowi i jedzie do Polski. Nic nie mogło odwieść go od powziętego postanowienia. Cóż było robić, odprowadziłem go do portu, tam siadł na mały brzegowy okręt, kursujący między Porto Alagre a Bahią i pojechał do Rio de Janeiro, aby stamtąd wielkim statkiem udać się do Europy.

Z MYŚLIWSKIEJ TEKI.

Mój pierwszy dzik.

W lesie dziki... Taką wiadomość przyniósł mi powracający z obchodu gajowy, stary towarzysz mych wypraw łowieckich. Rzecz zrozumiała, że serce zabiło mi mocniej ze wzruszenia, i bez namysłu zgodziłem się na projekt wielkiej obławy, która nazajutrz od wczesnego już ranka miała wrzawą myśliwską wypełnić leśne ostępy, w których głębiach ukrywały się owe upragnione dziki. Ze zrozumiałem zdenerwowaniem badałem stan barometru, który jednak nie wróżył nic dobrego i, pomimo dość silnego przymrozku i lśniącego gwiazdami nieba, bezlitośnie prze-

powiadał odwilż. To też kiedy sprawdziłem stan fuzji, przygotowałem odpowiednią ilość ładunków i udałem się na spoczynek, długo nie mogłem zasnąć, rozmyślając o losach jutrzejszego polowania i widząc w rozgorączkowanej wyobraźni różne sceny ze spotkań myśliwskich z czarną zwierzyną...

— — — — — — — — — — — — — — —

Jednak pomimo smutnych zapowiedzi wstawał śliczny dzień zimowy, barwiony fioletem... skąpany w szkarłacie... a zorze poranne, kąpiąc w płomieniach wschodnią część niebios, przesiąkały różowymi blaskami i w mroczne głębie leśne, kładąc się barwną mozaiką między pniami niebotycznych sosen, igrając po ośnieżonych kopułach pomniejszych krzewów i coraz dalej wypłaszając noc. Już też jeden i drugi promień wyrwał się skądś z za horyzontu i, przedarłszy się błyskawicą przez mroźne powietrze, ognistym pocałunkiem zarumienił śnieżne szczyty drzew.

Dołem cisza była jeszcze i spokój...

Stałem na linji leśnej między dwoma wzgórzami, przedemną zwarty gąszcz zagajnika, za mną wysokopienny bór.

Cicho... czasem tylko wietrzyk w przelocie potrząsnął zlekka gałązkami i wnet delikatne pyłki śniegu, migocąc w słońcu tysiącem brylantów, spływały bezszelestnie na miękki kobierzec.

Skądś, z daleka .. z daleka... nadleciały rozedrgane dźwięki trąbki; to naganka rozpoczęła swój marsz...

Wraz też pewien ruch dał się zauważyć w leśnem królestwie; oto kraska zaskrzeczała raz i drugi, i, mignąwszy pod słońce barwnemi pióry, wpadła w gąszcz. Tu i owdzie spłoszony szarak przeleciał trwożliwie, chociaż nic mu dzisiaj nie groziło ze strony myśliwych, bo przezorność zakazazywała strzelać do tak nikczemnej zwierzyny, kiedy lada chwila mogły się pokazać dziki...

Zdenerwowanie moje wzrastało z każdą chwilą, bo: naganka się coraz bardziej zbliżała, i jakkolwiek jeszcze z oddali, ale już coraz wyraźniej słychać było jej odgłosy.

Nagle drgnąłem... Na sąsiedniem stanowisku z lewej strony zahuczał strzał; przewalił się echem przez bór, zdrętwiały

ze zgrozy, i, odbijając się od drzewa do drzewa, oddalał się coraz cichszy... coraz dalszy...

Górą, jak dwa aeroplany, ze świstem twardych lotek mignęła para cietrzewi, znacząc się na śnieżnym dywanie czarnemi ruchomemi cieniami.

Ale uwagę moją zwrócił jakiś trzask, jakby łamanej gałązki, lecz zanim zdążyłem zebrać rozproszone myśli, z gęstej ściany zagajnika wysunął się nagle długi, czarny, opatrzony potężnymi kłami ryj, a za nim ukazała się para maleńkich, świdrujących oczek i potężny, opatrzony na wierzchu w szczecinowatą szczotkę, kark. Za chwilę i cały zwierz wypadł w potężnym susie na linję.

Siłą przemogłem nerwowe drżenie ręki i w chwili, gdy muszka fuzji spoczęła w okolicy ucha zwierzęcia, nacisnąłem cyngiel.

Z za delikatnej mgiełki dymu ujrzałem, jak wspaniały odyniec zwalił się ciężko na ziemię i w ostatnich drgawkach, wyrzucając w górę tumany śniegu, zdawał kniei testament ze swego ponurego żywota.

A mnie się niebo otworzyło przed oczyma i cały las zawirował przedemną i zdało mi się, że słyszę w jego szumie potężną pieśń triumfu!

Lecz co to?—Szmer ów wzrasta do naturalnych rozmiarów, las, dzik, wszystko zaczyna dziwnie się jakoś zacierać i nagle... znajduję się w łóżku, w swoim własnym pokoju, a na stoliku obok stoi budzik i trajkoczę tak przeraźliwie, że mógłby z pewnością nieboszczyka wystraszyć z trumny.

Zerwałem się na nogi zdumiony; czyż byłby to tylko sen?—Podbiegłem do okna i... zdrętwiałem! Na dworze śnieg zginął zupełnie, a z zawleczonych jednostajną szarością niebios deszcz lał strumieniami jak z cebra.

Polowanie naturalnie przepadło, ale, jeżeli kiedykolwiek św. Hubert pozwoli, by czarny zwierz legł z mojej ręki, to będzie to już mój drugi dzik!

St. K-ski.

Rozwój parlamentaryzmu.

(Dokończenie).

Typowem państwem absolutnem była Francja. Wprawdzie w r. 1614 zwołano tam Stany Generalne, ale to było wszystko. Od tego czasu upada parlamentaryzm francuski, a wyłaniające się postacie Richelieu'go, Mazariniego i Ludwika XIV stwarzają rządy ściśle centralistyczne, nie znoszące żadnego oporu.

Równocześnie z francuskim wyrodnieje nasz parlament.

Posłowie bowiem, jadąc na sejm, dostawali na sejmikach instrukcje, od których niewolno było odstępować. W nich były skreślone żądania danego okręgu, i o nie przedewszystkiem musiał się starać poseł. Wrazie zaś pojawienia się projektu, nieprzewidzianego przez instrukcję, poseł był obowiązany przez wyborców do niedopuszczenia do tego, aby projekt ten stał się uchwałą. Środkiem do tego stało się „Liberum veto". Zastosowane poraz pierwszy na sejmie z r. 1652 przeraziło króla do tego stopnia, że, zwoławszy w r. 1660 sejm do Warszawy, całą siłą parł do ograniczenia tego tak niebezpiecznego środka. Pod jego wpływem wydano uchwałę, ograniczającą „Veto" do tego stopnia, że wpływać mogło jedynie na odroczenie uchwały, ale przepis ten nie wszedł w życie.

Poważne zmiany na lepsze wprowadził w. XVIII.

Pierwszą zmianą było powstanie w Anglji gabinetów.

Dotychczas organem doradczym króla angielskiego była Rada Tajna, nie mająca w praktyce większego znaczenia. Był to organ nawskroś niekonstytucyjny, składający się z ludzi, wybieranych przez króla. Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa gabinetów.

Z początku wybierano ministrów, nie pytając o przynależność partyjną, i to doprowadzało do wewnętrznych rozterek w samym gabinecie. Zrozumiał to ks. Sunderland, który, mimo, że sam był wigiem, widząc w r. 1698, że torysi zdobyli w parlamencie przewagę, doradził Wilhelmowi powołanie ministrów z grona torysów.

Czasy dynastji hannowerskiej wzmocniły tę instytucję, a nawet wprowadziły pewną nowość. Zarówno bowiem Jerzy I (1714-1727) jak i Jerzy II (1714-1760) nie rozumieli dobrze języka angielskiego, więc nie mieli poco chodzić na zebrania parlamentu. To też wybierali sobie zaufanego człowieka, któryby w zastępstwie ich przemawiał oraz kierował sprawami publicznemi. Stąd pochodzi godność premjera, który w gabinecie angielskim sprawował równocześnie urząd pierwszego lorda skarbu. Pierwszym premjerem był zdolny Robert Walpole.

Posługując się korrupcją, rządził przeszło 21 lat, nie zwracając uwagi na to, czy ma większość w parlamencie, czy też nie. Dopiero w r. 1742 przekonał się, że gabinet musi się opierać na większości parlamentu, to też widząc, że przeciwko niemu podnoszą się głosy opozycji, podał się do dymisji.

W czasie jego rządów Izba gmin doszła do niebywałego znaczenia. Zdobywszy sobie przewagę nad Izbą Lordów, wydała akt, przedłużający pełnomocnictwa do lat 7-miu. Mimo oburzenia nieudało się go odwołać, zwalili go dopiero Asquith i Lloyd George. Z powodu tak długiej kadencji korrupcja doszła do zenitu. W parlamencie powstał straszny chaos, a wkońcu doszło do takiego zwyrodnienia Izby Gmin, że przestano ją uważać za przedstawicielkę narodu. W takiej chwili rzucono hasło reformy wyborczej, aby zmienić stan rzeczy. Rzucone przez Pittów hasło to zrealizowania doczekało się w wieku XIX dzięki Grayowi.

Tymczazem wyłania się sprawa amerykańska. Anglja miała w Ameryce wiele kolonji, posiadających osobne parlamenty. Po wojnie siedmioletniej parlament w Londynie uchwalił, że część kosztów tej wojny muszą pokryć kolonje. A kiedy te odpowiedziały, że nie zapłacą, bo nie mają swoich przedstawicieli w parlamencie metropolji, Anglja postanowiła nałożyć większe cło na herbatę, jako na produkt wwozu do Ameryki.

W odpowiedzi zaś na spalenie i zatopienie przez mieszkańców Bostonu kilku okrętów z herbatą angielską (1773) zmieniono dotychczasowy ustrój kolonji oraz przyznano gubernatorowi prawo życia i śmierci. To było przyczyną wybuchu. Zwołany

kongres do Filadelfji uchwala w r. 1774 deklarację praw Amerykanów, a w następnym woła pod broń wszystkich obywateli. A kiedy jeszcze rząd angielski wysłał do poskromienia obcych żołnierzy, kongres zrywa ostatecznie z metropolją i ogłasza w r. 1776 niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Po długiej i zaciętej walce obejmujący rządy w Anglji Pitt młodszy zdecydował się w r. 1782 na uznanie Stanów Zjednoczonych. Nowopowstałe państwo wydaje w kilka lat później, bo w r. 1787, konstytucję, służącą teraz jako wzór. Na mocy jej Rzecząpospolitą miał kierować prezydent, wybierany na lat 4, władzę zaś ustawodawczą miał kongres dwuizbowy. Odgłosy tych wypadków rozeszły się po całej Europie.

We Francji Ludwik XVI, nie mogąc inną drogą zaprowadzić porządku, zwołuje w r. 1789 Stany Generalne.

Zaraz po zwołaniu wyłania się spór o głosowanie i stan trzeci, nie chcąc się zgodzić na wspólne głosowanie, odważył się dn. 17 czerwca na oświadczenie, że sam jeden stanowi Zgromadzenie Narodowe. Król próbował początkowo zmusić ich do uległości, ale gdy mu się to nie udało, rozkazał dwom pierwszym stanom połączyć się z trzecim. W ten sposób powstała Konstytuanta, która po wielu przejściach dopięła jednak celu i w r. 1791 we wrześniu uchwaliła konstytucję dla Francji. Konstytucja ta jest odbiciem praw Amerykanów.

Dokonawszy dzieła konstytuanta rozeszła się, uchwalając przedtem, że członkowie konstytuanty nie mogą wejść w skład Zgromadzenia Prawodawczego. Wskutek tego do steru przyszli ludzie nowi, nieznani. Najsilniejszą partją byli Żyrondyści, dążący do rzeczypospolitej. Dążyli oni do tego twardo i zdecydowanie, czekając tylko sposobności, aby wystąpić otwarcie. I doczekali się jej. Wódz armji koalicyjnej, wkraczającej do Francji, ks. Brunświcki, wydał mamifest, w którym była zawarta pogróżka zburzenia Paryża, w razie gdyby się stała krzywda Ludwikowi XVI. Wziąwszy to za dowód porozumiewania się króla z wrogiem, podburzyli lud do zbrojnego natarcia na Tuillerye, rezultatem którego było zasuspendowanie króla. Zwołana zaś kon-

wencja uchwaliła jednomyślnie dn. 21.IX 1792 rzeczpospolitą. Na czele rządu stanęli Robespierre, Marat i Danton. Pozbywszy się umiarkowanych republikanów w osobach Żyrondystów, wysławszy na szafot Ludwika XVI, rozpoczęli rządy straszne, cechowane terrorem. Rządy te, trwające do r. 1795, sprzykrzyły się nawet samym członkom konwencji, to też w tym roku wydano konstytucję, która władzę wykonawczą oddawała w ręce 5 dyrektorów, ustawodawczą—ciału prawodawczemu, złożonemu z 2 Izb: Rady Pięciuset, stawiającej projekty i Rady Starszych (250 osób), wydającej uchwały.

B. Czarnecki.

Turniej szachowy. Tegoroczny turniej szachowy ciągnie się bardzo powoli.

Niewątpliwie składa się na to wiele przyczyn zewnętrznych np: ferje świąteczne, półrocze, karnawał i t. p. Także pewnego ostudzenia zapału dowodzi fakt, iż z dziewięciu zapisanych początkowo zawodników pozostało tylko sześciu, którzy punkty, z rozegranych dotychczas partji, podzielili między siebie w następujący sposób:

	Mazur	Prendowski	Luciak	Maj J.	Rosenzweig	Salamoński	Grano	Wygrano	Nierozegrano	Przegrano	Punkty	Miejsce dotychczasowe
Mazur	—		11	1	1		4	4	0	0	4	I
Prendowski . . .		—		11	0		3	2	0	1	2	II
Luciak	00		—	0	1	1	5	2	0	3	2	III
Maj J. . . .	0	00	1	—			4	1	0	3	1	IV
Rosenzweig . . .	0	1	0		—		3	1	0	2	1	V
Salamoński . . .			0			—	1	0	0	1	0	VI

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Józef Jentsch**—Radom, Pl. 3 Maja 1.

Druk J. Grodzicki i S-ka—Radom 6884 337-26.